

POWSTANIE POLSKI „BATMAN”?

PMPG POLSKIE MEDIA, WATER COLOR STUDIO
I MATTHEW TYRMAND ZEKRANIZUJĄ „ZŁEGO”

Ciekawe – pomyślał – że wielka mistyfikacja literatury kryminalnej polega na braku luk w potoku wypadków. W powieściach tych dzieje się zawsze coś, co wypływa z żelazną logiką ze strumieniem zdarzeń. Tymczasem prawdziwe życie pełne jest luk, w których się nic nie dzieje. Coś dzieje się, potem przestaje się dziać i następuje luka.

PMPG Polskie Media, Water Color Studio i Matthew Tyrmand podpisali w środę list intencyjny o współpracy przy ekranizacji powieści Leopolda Tyrmanda „Zły”. Zdjęcia do filmu mają ruszyć w 2018 r., premiera planowana jest na przełom roku 2019 i 2020, w przededniu 65. rocznicy wydania kultowej powieści.

Michał Maciej Lisiecki, twórca i prezes PMPG Polskie Media, Sławomir Józwik, prezes Water Color Studio oraz Matthew Tyrmand, syn autora książki, nie ukrywają, że ich celem jest stworzenie filmowego hitu, polskiego „Batmana”. Liczą też na sukces, bo „Zły” to właściwie gotowy przepis na hit – jest w nim i tajemnica, i legenda, i walka dobra ze złem, i wydarzenie z pogranicza rzeczywistości i opowieści o superbohaterach. Również sama produkcja filmu obrosła już pewną legendą o swego rodzaju „kłótwie”, która powoduje, że do tej pory powieści Tyrmanda nie udało się zekranizować.

Samo Water Color Studio już raz rozpoczęło prace nad filmem, ale musiało je zawiesić. Tym bardziej jego prezes jest zdeterminowany, aby tym razem doprowadzić do premiery „Złego”.

Obecnie trwają prace nad scenariuszem do filmu, który ma być możliwie wierną ekranizacją „Złego”. Nadzór nad tą częścią przygotowań sprawuje Sławomir Józwik. Pozostałych szczegółów producenci na razie nie zdradzają. Zamiast o planach, chcą mówić o faktach już na etapie realizacji. „Trochę tajemniczości na tym etapie pra na pewno nam nie zaszkodzi” – mówi Józwik.

„„Zły” Leopolda Tyrmanda to gotowy scenariusz filmowy. Gdyby był powieścią amerykańską, pewnie już dawno na jej podstawie powstałby niejeden film, jakaś superprodukcja. Sam bohater „Złego” trochę przypomina Batmana czy nawet Zorro” – mówi Lisiecki, który nie kryje fascynacji powieścią Leopolda Tyrmanda. Dodaje, że książka długo, może nawet zbyt długo, czeka na ekranizację. Być może teraz jest dobry czas, żeby o niej przypomnieć.

„Zły” – to opowieść o Warszawie. O mieście, które podnosi się z ruin, które nie dało zdławić swego ducha, w którym tętni życie, w którym ożywają miejskie legendy. Tyrmand unieśmiertelnił powojenną stolicę, nie pozwalając jej odejść w zapomnienie. Przez lata pojawiało się wiele pomysłów na jej ekranizację, ale wszystkie zderzały się ze skalą przedsięwzięcia. W końcu nie wystarczy na ekranie jedynie ukazać losy bohaterów, należy przede wszystkim odtworzyć życie i ducha Warszawy z tamtych czasów. To będzie wymagało sięgnięcia po efekty specjalne oraz wskazana plenerów, które będą mogły „zagrać” Warszawę lat 50-tych. Obok niektórych fragmentów Śródmieścia i warszawskiej Pragi, producenci nie wykluczają, że zdjęcia będą powstawały również w Łodzi.

Budżet filmu został wstępnie skalkulowany na 20 milionów złotych. Jeżeli faktycznie zamknie się tą kwotą, produkcja znajdzie się pod koniec pierwszej dziesiątki najdroższych polskich filmów, m.in. za „Quo Vadis” (ponad 75 mln) czy „Ogniem mieczem” (24 mln). Producenci nie wykluczają poszukiwania dodatkowych koproducentów oraz współpracy z jedną z dużych stacji telewizyjnych.

KIM SĄ PRODUCENCI „ZŁEGO”?

PMPG POLSKIE MEDIA, WATER COLOR STUDIO
I MATTHEW TYRMAND ZEKRANIZUJĄ „ZŁEGO”

Warszawski kurz i pył lat odbudowy... Jeden z filozofów obliczył, że warszawiacy wdychali wtedy cztery cegły rocznie. Warszawiacy oddychali budową — nie była to metafora, lecz ciężka, zakurzona, ceglana i pylista prawda. Trzeba zaś bardzo kochać swe miasto, by odbudowywać je za cenę własnego oddechu. I może dlatego Warszawa z pobjowiska gruzów i ruin stała się znów dawną Warszawą, wieczną Warszawą, tą samą Warszawą



SŁAWOMIR JÓZWIK – producent, reżyser i aktor. Ukończył Studium Aktorskie przy Teatrze Wybrzeże w Gdańsku w 1984, a także studia na wydziale Produkcji Audiowizualnej w Akademii Filmowej im. Mirosława Ondricka w Pisku (Czechy). Pracował w teatrach w Gdańsku, Białymstoku i w Warszawie.

Po odejściu z zawodu aktora na początku lat 90. został producentem telewizyjnym i filmowym. Pracował społecznie w Zarządzie Krajowej Izby Producentów Audiowizualnych. W latach 2005–2007 był koproducentem wielkich filmowych produkcji międzynarodowych, takich jak film Jan Paweł II z Jonem Voightem w roli Jana Pawła II we współpracy z RAI, CBS i TVP, czy też epicki serial na podstawie powieści Lwa Tołstoja Wojna i Pokój.

W latach 2007–09 był dyrektorem Agencji Filmowej w Telewizji Polskiej S.A. (do 30 czerwca 2009).

Od września 2008 do jesieni 2011 sprawował funkcję Sekretarza Rady Państwowego Instytutu Sztuki Filmowej.

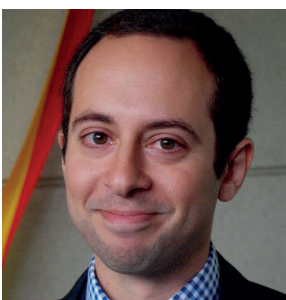


MICHAŁ MACIEJ LISIECKI – wydawca, menadżer, przedsiębiorca, ekspert rynku mediów. Producent i dystrybutor filmowy. Twórca, główny udziałowiec i prezes PMPG #PolskieMedia (GPW: PMPG). Pełni również funkcje prezesa Zarządu w spółkach Grupy Kapitałowej PMPG, m.in.: AWR „Wprost”, wydawcy tygodnika WPROST, oraz przewodniczącego Rady Nadzorczej Orle Pióro Sp. z o.o., wydawcy „Tygodnika Do Rzeczy”. Współtwórca FILM POINT GROUP – producenta i dystrybutora filmowego. Współproducent filmu „Gwiazdy” Jana Kidawy-Błońskiego, dystrybutor m.in. filmów „Wielkie piękno” (Oscar 2014 dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego, Złoty Glob, BAFTA), „Zimowy sen” (Złota Palma 2014), „Borgman” (nominowany do Złotej Palmy 2013), kontrowersyjnego dokumentu „Clinton Cash” (2016) oraz filmu „Ja, Godard” (nominacja do Złotej Palmy 2017, polska premiera: styczeń 2018).

W 2007 kupił od francuskiej grupy Hachette Filipacchi miesięcznik FILM – dziś wydawany w formie cyfrowej (www.film.com.pl) oraz Złote Kaczki – najstarszą polską nagrodę filmową. Przez wiele lat organizował Wielkie Gale Polskiego Filmu połączone z wręczeniem Złotych Kaczek dla najwybitniejszych polskich twórców filmowych.

Przyjaciel Matthew Tyrmanda i wielki fan twórczości jego ojca. Uważa, że „Zły” to gotowy scenariusz hitu na miarę polskiego „Batmana”. W 2016 r. otrzymał Nagrodę From The Depths im. Leopolda Tyrmanda za mówienia prawdy w interesie publicznym i w zgodzie ze swoim wewnętrznym kodeksem moralnym, bez względu na konsekwencje.

Lisiecki jest członkiem prestiżowej YPO – organizacji zrzeszającej najbardziej wpływowych ludzi biznesu z całego świata. Jest również jednym z fundatorów Memoriału Wolnego Słowa. W grudniu 2015 r. otrzymał specjalne wyróżnienie Instytutu im. Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego – Stowarzyszenia Historyczno-Społecznego z przesłaniem, aby flagę białoczerwoną nieść godnie i wysoko.



MATTHEW TYRMAND – syn pisarza Leopolda Tyrmanda. Wychowany w Nowym Yorku, absolwent Uniwersytetu Chicagowskiego. Blisko 10 lat pracował z powodzeniem na Wall Street. Obecnie doradza małym i średnim przedsiębiorstwom. W 2010 roku pierwszy raz przyjechał do Polski, gdzie dziś czuje się jak w domu. We wrześniu 2013 roku ukazała się jego książka autobiograficzna „Jestem Tyrmand, syn Leopolda”. Jest dyrektorem wykonawczym w amerykańskim think tanku „Open the Books”, który zajmuje się kontrolą wydatków publicznych oraz udostępnianiem informacji na ich temat na stronach internetowych. Jest również członkiem zarządu w „Project Veritas”, publicystą tygodnika „Do Rzeczy” oraz amerykańskiego portalu „Breitbart”.

W lipcu 2017 roku ukazała się książka „Patrząc, jak świat płonie”, która zawiera jego rozmowy z dziennikarzem Marcinem Makowskim na tematy polityczne i społeczne.

WARSZAWA OCZAMI TYRMANDA

ZŁY
LEOPOLD TYRMAND

Wiosna warszawska jest wiosną pokrzywdzoną. Morze atramentu wylano dla uświadomienia ludzkości uroków wiosny paryskiej czy wiedeńskiej. Powstała cała literatura muzyczna narzucająca światu nastroje tych wiosen. Ludzie na najróżniejszych równoleżnikach i południkach nauczyli się zachwycać paryską i wiedeńską wiosną, marzyć o nich, tęsknić do nich. Jest to ogromna mistyfikacja, oparta o reklamową potęgę sztuki: poeci, malarze i muzycy Wiednia i Paryża potrafili po prostu tak reklamować i spopularyzować swe wiosny, że uczynili z nich ideał dla reszty świata. Czas najwyższy zde-maskować tę grę! Warszawska wiosna na pewno w niczym nie ustępuje paryskiej czy wiedeńskiej. Gdzież jest bowiem na świecie miasto, w którym pierwsze promienie słońca tak przekornie poczynają sobie z topniejącym śniegiem, takie w nim zapalają tęczowe blaski i tak rycersko zmuszają go do ustąpienia? Gdzież jest na świecie miasto, w którym pierwsze wiosenne ciepło tak leniwie i radośnie przykleja zimową odzież do pleców i tak powołująco zmusza do jej zrzucenia? Gdzież jest na świecie miasto, w którym pachnący świeży wiatr od rzeki tyle w sobie niesie dziwnej melancholii, uciskającej duszę w pełne złota poranki, widoczne w prostokątach wiosennych, błękitnych okien? Gdzież jest na świecie miasto, w którym rozedrgane zmierzchy uliczne przepojone są tak trudną i nigdy nie wyjaśnioną tęsknotą za niewiadomym, za nigdy nie zniszczonym, za czymś, o czym nic nie wiemy, czego bardzo pragniemy i czego nigdy nie dostaniemy ani nie osiągniemy w naszym pojedynczym, własnym życiu. Chyba nie ma na świecie takiego miasta, tak właśnie jak niepowtarzalne nigdzie indziej są warszawskie wiosenne zapachy, nastroje, uczucia i myśli. I dlatego nie mówcie nam o wiosnach paryskich czy wiedeńskich! Nam, którzy wiemy, czym jest, czym być potrafi warszawska wiosna.



Wielkie miasto wytwarza własną gwarę, miejski żargon, którego słowa i zdania nabrzmiały są mnóstwem treści, dostępnych wyłącznie ludziom w tym mieście żyjącym. O gwarze warszawskiej decydują jednak nie wyrazy, lecz intonacje. Nie znaczy to, że gwara ta nie posiada mnóstwa słów zrodzonych w glebie tego miasta. Istnieje ogromna ilość słów i zwrotów, które tutaj wypowiedziane zostały po raz pierwszy i tutaj doszły do rangi znaczeń wyjątkowych i niepowtarzalnych, arcytrafnych i arcyśmiesznych. Niemniej — nie wyrażenia i zwroty decydują o warszawskiej gwarze. Prawdziwa gwara Warszawy to intonacja. W małym słówku „na pewno” rodowity warszawiak potrafi zawrzeć tak przebogaty wachlarz znaczeń i nastrojów, o jakim pojęcia nie mają i mieć nie mogą ludzie wymawiający to słowo w innych miastach lub w innych językach. W warszawskim „na pewno” rozbrzmiewa, zależnie od okoliczności, groźba lub prośba, pogarda lub szyderstwo, nadzieja lub wątpliwość, chwiejność lub moc charakteru. Odcień głosu, modulacja, akcent — oto, co decyduje o gwarze warszawskiej. Intonacja wyrażen takich, jak „po co ta mowa” albo „nigdy w życiu”, zawiera w sobie częstość ekspresję zastępującą najgorsze przekleństwa lub błagalną pokorą. Intonacja — oto, co decyduje.

“
Dobre imię to połowa powodzenia. Daje ono wyborną podstawę psychiczną dla przeróżnych osiągnięć, a nawet wyznacza w niej jakim sensie ludzkie. Nawet najbrzydsza dziewczyna, nazywając się na przykład Pamela, dysponuje pewną szansą życiową, której brak jest zwykłym Haniom i Marysiom.

WARSZAWA OCZAMI TYRMANDA

ZŁY
LEOPOLD TYRMAND

Oliwkowy humber zahamował obok nowego gmachu PKO na Sienkiewicza. Kruszyna wysiadł, za nim Merynos, zamykając starannie auto. Przeszli Marszałkowską na skraju największego placu w Europie do rogu Moniuszki: wokół rozciągała się ogromna przestrzeń pełna sygnałów ostrzegawczych, niebieskich i czerwonych, oraz jaskrawych lamp w głębi, przy których nocne zmiany układały asfaltową nawierzchnię wokół wielkiego wieżowca, odbijającego niebieskawo światła wieczoru swą kremową okładziną. Ulica Moniuszki była krótka, zabita parkanami z desek wokół ostatnich ruin, przeznaczonych do rozbiórki: ogromne siedziby banków, instytucji oszczędnościowych i towarzystw ubezpieczeniowych, czarne, wysokie, masywne, wznosiły tu swoje wypalone ściany za przesadnie ciężkimi kolumnadami. Lada dzień miały zniknąć, i ustępując planowej odbudowie, jak resztki symbolów finansowej potęgi z przedwczoraj. Był to jeden z ostatnich rezerwatów mroku i cienia wśród wielkomiejskiej, rozświetlonej płaszczyzny największego placu w Europie.



Wielkie miasto wytwarza własną gwargę, miejski żargon, którego słowa i zdania nabrzmiały są mnóstwem treści, dostępnych wyłącznie ludziom w tym mieście żyjącym. O gwarze warszawskiej decydują jednak nie wyrazy, lecz intonacje. Nie znaczy to, że gwara ta nie posiada mnóstwa słów zrodzonych w glebie tego miasta. Istnieje ogromna ilość słów i zwrotów, które tutaj wypowiedziane zostały po raz pierwszy i tutaj doszły do rangi znaczeń wyjątkowych i niepowtarzalnych, arcytrafnych i arcyśmiesznych. Niemniej — nie wyrażenia i zwroty decydują o warszawskiej gwarze. Prawdziwa gwara Warszawy to intonacja. W małym słówku „na pewno” rodowity warszawiak potrafi zawrzeć tak przebogaty wachlarz znaczeń i nastrojów, o jakim pojęcia nie mają i mieć nie mogą ludzie wymawiający to słowo w innych miastach lub w innych językach. W warszawskim „na pewno” rozbrzmiewa, zależnie od okoliczności, groźba lub prośba, pogarda lub szyderstwo, nadzieja lub zwątpienie, chwiejność lub moc charakteru. Odcień głosu, modulacja, akcent — oto, co decyduje o gwarze warszawskiej. Intonacja wyrażen takich, jak „po co ta mowa” albo „nigdy w życiu”, zawiera w sobie częstokroć ekspresję zastępującą najgorsze przekleństwa lub błagalną pokorą. Intonacja — oto, co decyduje.

W żadnym z miast na świecie śnieg nie ma tak krańcowych humorów jak w Warszawie; nigdzie nie potrafi tak szybko i tak beznadziejnie zmienić się w brudne, dręczące błoto, ale też nigdzie nie pada z takim wdziękiem jak w tym mieście. Pada wtedy miękko i cicho, pokrywa świat cały puszystą bielą, mieniącą się w nocy granatowymi refleksami na dachach i skwerach, budzi tęsknoty za minionym dzieciństwem.

WARSZAWA OCZAMI TYRMANDA

ZŁY
LEOPOLD TYRMAND

Wytworna zacisza dzielnicy sejmowej zmieniała swój charakter — zewsząd rozciągały się tereny urządzeń sportowych, poprzecinane żelaznymi ogrodzeniami, siatkowymi lub z grubych prętów. Park Sobieskiego, w głębi Myśliwieckiej — trybuny kortów tenisowych, boiska i spiętrzony hangar krytych trybun stadionu Wojska Polskiego, dalej ciemny masyw pływalni — wszystko to, słoneczne i zielone latem, czyniło raczej odstręczające wrażenie w zimowy wieczór. Puste, ciemne przestrzenie, rozplywające się w półmroku kontury, szerokie, nie ożywione ulice i jezdnie, cisza słabo uczęszczanej peryferii, rozrywana od czasu do czasu poszumem przejeżdżających trolejbusów — wszystko to nie wzbudzało zaufania. W samym środku tego krajobrazu tkwiły ruiny ogromnego kościoła.

Mijając ruiny Marta pomyślała już zupełnie konkretnie, że jest tu całkiem nieprzyjemnie. „Nerwy” — dodała w myśli — po prostu pozostałości zajścia sprzed paru dni”. Ten kościół za dnia nie wzbudzał w niej, jak w każdym oswojonym z ruinami warszawiaku, żadnych refleksji. Teraz wyglądał groźnie.



To, co nastąpiło teraz, było rodzajem snu, zaś sen ten prześniło kilkanaście osób w ciągu ułamka sekundy. Kiedy przetarli oczy — było już po wszystkim. W błocie trotuaru leżał wyrostek w welwetowej kurtce, krwawiąc obficie. Mały gruzłowaty klęczał pod kioskiem, trzymając się oburącz za głowę. Podnosił się powoli, spojrzał błędnym wzrokiem ciężko pobitego człowieka, zatoczył się, spiął wszystkie siły i zaczął uciekać w stronę kościoła św. Aleksandra. Pijany znikł gdzieś bez śladu. Tłum ocknął się, zakołysał, zaczęto wołać ze wszystkich stron: — Pogotowie! Milicja! Człowiek ranny!... — Ktoś pomógł podnieść się Marcie, która oddychała ciężko. Od strony Wiejskiej biegło dwóch milicjantów.

Zamknęła za sobą drzwi apteki i stała przez chwilę na progu. Wicher, śnieg, deszcz, błoto, mżące, niepewne światło, gęsta maź lutowego wieczoru, w której ludzie biegają szybko, uciekając przed tym, co jest w powietrzu, tłoczą się do tramwajów, spieszą się, nie patrząc na nikogo. Długi rząd skulonych postaci dreptał w błotnistej papce trotuaru, czekając na 113, nieco dalej taki sam szereg wypatrywał niecierpliwie żoliborskiego autobusu. Marta szybkim krokiem, przechodzącym niemal w bieg, ruszyła w stronę Wiejskiej.